

Grzegorz Gortat

Do pierwszej krwi

Zakład Narodowy im. Ossolińskich – Wydawnictwo

*© by Zakład Narodowy im. Ossolińskich – Wydawnictwo
Wrocław 2006*

1

Kilka minut po piątej spadł ciepły wrześnieowy deszcz. Podnoszą się z ławki pod blokiem, żeby przeczekać pod daszkiem przy śmietniku. Lacha biegnie truchtem.

Baczer wrzeszczy za nim:

- Deszczu się boisz?
- Nówki. – Lacha pod osłoną daszku ogląda adidasy.
- No to co? Rozkleją ci się? – Baczer przepuszcza Jolkę przodem.
- Spoko, firmowe. Brat przysłał mi z Chicago.
- Firmowe – prycha Baczer. – Import z Chin.
- Mówię, że amerykańskie.

Koń dołącza do nich.

– Czyli musowo chińskie – mówi. – Żółtki swoje barachło wszędzie wcisną.

- Pokazać ci metkę? Stoi jak wół: meid in de ju es ej.

Baczer się śmieje.

– Takie metki to możesz kupować garściami na stadionie.
– I amerykańskie firmowe nówki też – wtóruje mu Koń. – Prosto z salonu Czing Cziang Czianga.

– Zalewasz. Podróbek od żółtków w życiu bym nie założył. Daj przyjarać.

Koń podsuwa Lasze zapalniczkę.

- Co jest? Miałeś nie palić?
- To po co mnie wkurzasz?
- Mówię jak jest. Połowa towarów na rynku to chiński szajs.
- Koń ma rację. – Jolka włącza się do rozmowy. – Widziałam program w telewizji. Chińska szwaczka za godzinę pracy dostaje osiemdziesiąt centów. A amerykańskiej musieliby zapłacić dziesięć dolarów. Czyli Amerykanom kalkuluje się kupować towar w Chinach i sprzedawać u siebie. Logiczne?

Lacha strzyka śliną.

– U nas im się nie uda. W Warszawie nie będzie żadnego Chinatown.
Koń zakaszał, jakby się zakrztusił.

– Tak? A mrówkowce za Żelazną Bramą? Połowę mieszkań wynajmują
Chinole.

– Wietnamce – poprawia go Baczer.

– Niech będzie. Jedna hołota.

– Lacha, nie łam się. – Baczer udaje, że chce przydeptać Lasze adidasy.

– Jak zaczną podskakiwać, to damy im wpierdol.

Koń wrzuca niedopałek do kałuży przy śmietniku.

– Całego miasta nie oczyścisz – mruczy.

– Całego miasta nie. Ale niech który pokaże się w okolicy.

– Na placu jeszcze żadnego nie widziałem – mówi Lacha.

Jolka wychyla głowę i rozgląda się.

– Romek, gdzie podziałeś Belfa?

Koń zaczyna naraz grzebać po kieszeniach, jakby czegoś pilnie szukał.

„Jolce wolno – myśli Lacha, kuląc się instynktownie. – Niechby któryś
z nas odezwał się do Baczera po imieniu!”

Baczer dopala papierosa.

– Łazi gdzieś – odpowiada. – Nie zgubi się. Jest u siebie.

– Powinieneś zakładać mu kubeł – upiera się Jolka. – Dziabnie kogoś i
będzie afera.

– Szkolony.

– A jak mu coś odbije?

– Gryzie tylko na rozkaz. Sam uczyłem.

– Pies to pies.

– Jolka, tylko nie pies!

– Przepraszam.

Baczer gwizdże.

– No i jest. Po co ten niepokój?

Koń odsuwa się przezornie.

– Wiesz co, Baczer? Mordę to on ma, że Boże zmiłuj! Na sam widok można narobić w gacie.

– I o to chodzi. Podobny do Lachy.

Lacha śmieje się ze wszystkimi.

– Czego pani po mnie oczekuje, pani Majchrowska? Syn, jakby to powiedzieć, jest nieco ociężały – zawyrokowała wychowawczyni już w czwartej klasie podstawówki.

– Ociężały? – powtórzyła pytająco Majchrowska.

– No, wolno myśli. Wiele z niego nie wyciśniemy.

– Co z ciebie wyrośnie? – narzekała Majchrowska tradycyjnie po każdej wywiadówce. – Gdyby żył ojciec, już on by cię dopilnował!

Nie miała racji. Stary Majchrowski nic by nie wskórał. Z pustego nie przelejesz. Lacha urodził się ociężały na umyśle i nikt ani nic nie mogło tego zmienić. Taka jego uroda. Niedostatek intelektu natura zrównoważyła wyglądem. Lacha nie ma drygu do bitki. Nie to, żeby miał dwie lewe ręce. Jeśli trzeba, to potrafi przyłożyć. Tyle że wali jak chłop cepem, bez finezji. Ale z obcych mało kto miałby ochotę mu podskoczyć. Wystarczy spojrzeć na Majchrowskiego, żeby delikwentowi przechodziła chęćka.

– Pitbull na dwóch nogach – powiedział raz o nim Baczer. Metr dziewięćdziesiąt wzrostu, postura nosorożca, wielka głowa, na twarzy dzioby po ospie. Trzeba pójść do monopolowego i odnowić zapasy? Najlepiej posłać Lachę. Jego żaden sprzedawca o dowód nie zapyta.

– Poglaskaj go – zachęca Baczer.

– Chyba mnie nie lubi – mruczy Lacha.

– Dygasz się?

– Żartujesz?

Lacha sztywno jak manekin pochyla się i muska palcami twardy łeb.

Belf spogląda na niego oczami bez wyrazu.

– Chyba faktycznie cię nie lubi.

– Ma charakter – stwierdza Koń.

– Lacha czy Belf? – pyta Baczer.

– Belf. Pitbull z charakterem.

Belf warczy. Lacha robi krok do tyłu.

– Dobry Belf – jąka.

– Nie lubi, jak się do niego mówi – ostrzega Baczer.

– Nic mu nie zrobiłem.

– Zobaczył Szymczaka – domyśla się Baczer. Głaszcze Belfa. – Nie rusz.

Szymczak z teczką pod pachą przemyka pustym placem do bloku, rozglądając się na boki.

– Filuje, że mało co głowa mu nie odpadnie. – Koń gwizdże na palcach.

Szymczak w kilku susach dopada do klatki i znika za drzwiami.

– Dyma na nogach? Sprzedał brykę? – dziwi się Baczer.

– Teraz parkuje dwie ulice dalej – wyjaśnia Koń. – Trzyma merca na parkingu strzeżonym, tym przy biurowcu.

– Boi się, że ktoś mu znowu podprowadzi radio? – zaśmiał się Baczer.

– Wiesz, co sobie teraz kupił?

– Jakiś szmelc.

– Soniaka z odtwarzaczem! Dostalibyśmy najmarniej ze trzy stówki.

– Sony? Dobra marka – mówi Baczer. – Jestem zainteresowany. Nie ma to jak firmowy sprzęt, co, Lacha?

– Nie da rady. Parking strzeżony.

– Jeden emeryt w budce – informuje Koń. – Wychodzi tylko, żeby się odlać.

– No. – Baczer przykuca i głaszcze Belfa między uszami. Szczurzy ogon porusza się miarowo. – Siatka tak cienka, że Lacha zębami przegryzie.

Lacha drapie się po głowie.

– Chyba trzeba sobie odpuścić. Dziadyga trzyma na parkingu jakiegoś kundla. Narobi jazgotu.

– Kundla można otruć – proponuje Koń. – Dwie minuty i po kłopotcie. Mam dostęp do strychniny.

– Sam ci do dupy nasypię strychniny! – Baczer prostuje się powoli.

- Żartowałem.
- Przestaje padać – podchwycza Jolka.
- Baczer bierze Belfa na smycz.
- Która godzina? – pyta.
- Lacha spogląda na zegarek.
- Wpół do szóstej.
- Późno się robi.
- Synek chyba nawalił – komentuje Koń.
- Co z nim? – Baczer patrzy na Jolkę.
- Nie nawali.
- Tak dobrze go znasz?
- Zależało mu.
- W ostatniej chwili mógł wymięknąć.
- Gwarancji nie dawałam. Dostał swoją szansę.
- Cykor z elitarnego. Typowe – orzeka Koń.
- Weź się przymknij! – fuka Jolka.
- Koniu, pytał cię ktoś o zdanie? – mówi Baczer.
- Głośno myślę.
- To nie myśl.
- Ja tam nic do niego nie mam – zapewnia pośpiesznie Lacha.
- Widzisz, Koniu? Lacha wierzy w człowieka.
- Nie tak od razu – poprawia się Lacha. – Jak przejdzie próbę.
- Trzeba mieć jaja. No i farta – upiera się Koń.
- Fakt – zgadza się Lacha.
- Za pierwszym razem mało który nie pęka.
- Nie wkurwiał mnie, dobrze? – krzyczy Jolka.
- Jolka! – mówi ostrzegawczo Baczer. – Nie lubię, jak się niżasz.

Trzymaj poziom.

- Przepraszam.
- Do której czekamy? – pyta Lacha.
- Śpieszy ci się? – mruczy Baczer.

- Nie. Ale jak ściągnie psy?
- Nie nawali – zapewnia Jolka.
- Każdemu może się noga powinąć – marudzi Koń.
- Widziałam go raz w akcji.
- No i? – Koń spogląda na nią pytająco.
- Drugiego dnia szkoły. Taki bysior z trzeciej do niego wystartował.
- I co?
- Dostał raz z glana i się złożył.
- Krótka piłka – mruknął Lacha.
- Zwyczajny farciarz – skomentował Koń.
- Dobry jest. W klasie żaden koleś mu nie podskoczy.
- Pakuje? – Baczer odpiął smycz i rzucił kij. – Belf, aport!
- Ćwiczy jakąś kopankę.
- Karate? – podchwycyła Koń.
- Dokładnie nie wiem.
- Karate to szajs – oznajmia Baczer.
- Nie gadaj – oburzył się Koń.
- Szajs. Machają nogami jak w balecie. Koniu, ćwiczyłeś trzy lata i co?

Cienizna.

- A kto rozwalił połowę ławek w parku?
- Ławka ci nie odda. Każdy głupek trafi.
- Lacha, powiedz mu.
- Co?
- Jak ci dołożyłem pod blaszakiem.
- O czym tu gadać...
- Dostałeś?
- A, od razu dostałeś... To dla zabawy było.
- Zabawa! Kop w nery i kwiczysz. Jak bym ci zasunął w czachę, to byś się nie podniósł.
- Kopa to ty masz, fakt.
- Słyszysz, Baczer?

- W Lachę wali się jeszcze lepiej niż w ławkę.
- To komu mam przywalić, żebyś uwierzył? – Koń się zaperza. –

Salecie?

- Saleta to cienias. O, Remy Bonjasky to jest gościu! Tyle że Murzyn. Lacha ożywia się.
- W czym startuje?
- K 1.
- Nie słyszałem.
- Taka kopana wolna amerykanka. Można walić kolanami z wyskoku.
- Ja tam wolę boks tajski. Przygrywa im fajna muzyka – włącza się

Jolka.

– Tajski może być. Ale do krav maga się nie umywa. – Baczer ciska kij prawie pod blok. – Belf, aport!

– Co za krew maga? – Jolka się krzywi z niesmakiem. – Coś mi to zatrąca fantasy. Nabijasz się ze mnie?

– Krav maga, krav pisane przez „fau”. Taki system walki. Bez reguł.

Walczysz o przetrwanie.

- To coś nowego?
- Względnie. Początek lat czterdziestych.
- W życiu nie słyszałam.
- To powiedz jej lepiej, Baczer, kto to wymyślił – odzywa się Koń.
- A ty wiesz?
- Mowa!
- No to kto?
- Taki jeden Żydek.
- Żartuje? – Jolka patrzy pytająco na Baczera.
- Żyd, no i co? Żydkom czasem też coś wychodzi.
- Żyd to Żyd. Tak nisko nigdy bym nie upadł, żeby uczyć się od nich.
- Jakbyś całe życie gnieździł się wśród Arabów, to inaczej byś śpiewał.
- Arabusów też nie lubię.

– Jak na ulicy zacznie cię napieprzać trzech koleśków, to pytasz o rodowód?

– Trzem to i ty byś nie dał rady.

– A jeśli?

– Zwykła ściema.

– Żydzi uczą swoich krav maga już od dziecka. Niezły zapieprz. Ale rezultat gwarantowany.

– Widziałeś takiego w akcji?

– Ja nie. Brat mi opowiadał. Kiblował z jednym takim. Jak kiedyś gościa czterech w łaźni obsiadło, to zaraz trafili na ostry dyżur.

– Siedział z Żydem?

– Koniu, nie przeginaj.

– Przecież sam mówisz.

– Każdy może się nauczyć. Trzeba tylko mieć dryg i samozaparcie.

Dyscyplina.

– Co im zrobił?

– Ten z pierdła? Jednemu złamał girę. Któremuś tam wybił oko.

– Najlepiej jest gryźć – odzywa się Lacha.

Cała trójka spojrzała na niego.

– Coś ci się śniło, Lacha? – śmieje się Koń.

– Nie ma reguł, Baczer sam mówił. Wszystkie chwytów dozwolone.

Gryźć też można. Tylko trzeba umieć.

Baczer mruga do Jolki.

– Czyli jak?

– Gryziesz trzonowymi, bo inaczej można samemu kły stracić. Jak już chwycisz zębami, przekręcasz lekko głowę i jeszcze mocniej zaciskasz szczękę. Wprawny gość potrafi wyrwać kawałek ciała.

– Zalewasz. – Koń macha ręką.

– Dobrze mówi – potwierdza Baczer. – Lacha, gdzie się tak wyedukowałeś?

– Czytałem o tym.

- Lacha czyta książki! – Koń parska śmiechem. – Nie uwierzę!
- Pisali w jednej gazecie.
- Po co ci to? – dziwi się Koń.
- Interesuję się, bo co?
- Lacha ma warunki – stwierdza Baczer. – Widziałeś jego siekacze?

Jak zaciśnie szczękę, to już nie popuści.

- Normalny pitbull – żartuje Jolka.

Baczer przerywa jej:

- Znacie tego gościa?

Wychylają się zza śmietnika.

- Gdzie jest?
- Czai się przy trzeciej klatce.
- To on – mówi Jolka.
- To mu się pokaż.

Baczer gwizdże dwa razy na palcach. Jolka staje przed śmietnikiem i macha ręką.

Koń patrzy krzywo.

- Mnie się nie podoba.
- Opuść sobie – ostrzega Baczer. Spogląda na Jolkę. – Zawsze robi się na hip hopa?

- Nie ma jeszcze stylu. Dojrzewa.

Patrzą, jak się zbliża. Luźny krok, nogi szeroko, głowa lekko pochylona. Ręce w kieszeniach spodni.

- Coś się tak spocił? – zagaduje go Baczer.
- Trochę biegłem.
- Jolka, twoja kolej.
- Simon. Kumpel z klasy. Chce się zapoznać. Znam go dopiero od dwóch tygodni, ale moim zdaniem jest wartościowy.

– Simon. – Wyjmuje z kieszeni prawą rękę i wyciąga do Baczera. – Pisane „es” „i” „em” „o” „en”.

- Baczer. Ten z lewej to Koń, obok niego Lacha.

Koń podaje rękę bez entuzjazmu.

– „Simon” to żydowska ksywa?

– „Koń” to dlatego, że ktoś cię kopnął w głowę?

– Nieźle kopię. Dlatego. Zwłaszcza jak ktoś mi wierzga.

– Możemy się sprawdzić. Chyba że ci się spieszy.

– Mam dużo.

– Czego?

– Czasu.

– To zacznij już odliczać.

– Wyświadczę ci przysługę. Okay?

– No?

– Skrócę ci ten żydowski nos.

– Koniu, przystopuj! – mówi Baczer.

– Chyba go nie polubię.

– Nie musisz. Daj mu dojść do słowa. – Zwraca się do Simona. – Jolka opowiadała ci o nas?

– Trochę. Bez szczegółów.

– Na razie wystarczy. Co masz?

Simon sięga pod luźną bluzę.

– Pasuje?

– Co to jest?

– Pełny komplet. Komórka, portfel, karty.

– O to pytam?

– No, torebka.

– Powaliło cię? Ciągniesz się tu z torebką? Opróżniasz, torebka w krzaki i chodu.

– Nie było czasu. Taka jedna zatrzymała się na czerwonym.

Dziabnąłem szybko, chwyciłem torebkę i dałem dyla. Miałem po drodze oglądać?

– Taki jesteś tępy, czy tylko udajesz?

– Mówiłem – wtrąca się Koń.

Jolka milczy.

– Baczer, mógłbyś nadawać jaśniej? – prosi Simon.

Baczer pod osłoną śmietnika robi przegląd torebki.

– Forsa jest bezimienna. Bierzesz. Z komórką gorzej, ale ostatecznie warto zaryzykować. I chwacit. Koniec pieśni. Reszta do zsypu. Tylko dań paraduje przez pół miasta z dowodem i kartami kobitki w torebce. Gdyby cię capnęli, to jak byś się tłumaczył?

– Cienki jest – orzeka Koń.

– Dałeś dupy, nie ma co – stwierdza Baczer.

Jolka milczy.

– Ale charakter ma – mówi Lacha. – Nie scykorował.

– Stara się – odzywa się wreszcie Jolka.

– Szybki jestem – zapewnia Simon. – Nie dałbym się złapać.

– Sfajdałbyś się ze strachu.

– Skąd wiesz?

– Widzę.

– Gadanie!

– Wsadziliby cię do suki, to nawet byś nie kwiknął.

– Ogólnie daję sobie w życiu radę. Mam dobry refleks.

– Już to widzę.

– Nie wiesz, to nie chrzań. Spokojnie dałbym radę dwóm.

– To pokaż.

– Co?

– Co potrafisz.

– Na solo?

Koń zapala papierosa.

– Odpuść mu, Baczer. To próchno. Już zaczyna się sypać.

– Powiedz to swojej matce.

Koń ciska papierosa w kałużę.

– Nie mogę. Nie mam już matki.

Baczer wchodzi pomiędzy nich.

– Wyluzuj, Koniu. Jest nowy i nie wszystko jeszcze kuma. A ty, Simon, nie chlap bez potrzeby. Ze mną rozmawiasz. Lacha, rozejrzyj się.
Lacha znika z drugiej strony śmietnika. Po chwili wraca.
– Pusto – oznajmia.
Baczer zdejmuje kurtkę.
– Powiedz, jak będziesz gotów.
– W każdej chwili.
– Tu jest w miarę sucho. Starczy ci miejsca?
– Spoko.
– Ściągnij bluzę. Szkoda zniszczyć.
– Moja bluza, moja sprawa.
– Jak chcesz.
– Nie świruj, Simon – wtrąca się Jolka. – Daj, potrzynam.
– Dzięki.
– Znasz zasady?
– Dostosuję się.
– Walczymy na full. Wszystko dozwolone z wyjątkiem ciosów w krocze i twarz. Żadnych ostrych narzędzi.
– Pasuje.
– Walczymy do pierwszej krwi. Albo dopóki któryś się podda.
– Dobra. Tylko przywiąż psa.
– Bez mojego pozwolenia nie zaatakuj. I nie mów o nim „pies”. Belf, siad. Nie rusz.
– „Belf” to od „belfra”?
– Od „Belfegora”.

Ławki nie zdążyły obeschnąć po deszczu. Wycierają jedną gazetami i siadają przodem do bloku. Standard: dziesięć pięter, trzy klatki, sto pięćdziesiąt mieszkań. Mieszkalny silos, w dole szlaczki graffiti. Za nim, w równych piętnastometrowych odstępach, trzy kolejne dziesięciopiętrowce. Po drugiej stronie betonowego placu następna bliźniacza czwórka mrówkowców. U wylotu placu rząd niskich blaszanych pawilonów: warzywniak, spożywczo-monopolowy, wypożyczalnia wideo. Dalej, oddzielony torowiskiem tramwajowym, obstawiony billboardami hipermarket. Z hipermarketem sąsiaduje biurowiec, do biurowca przylega prowizoryczny parking ogrodzony siatką ogrodową. Potem resztki cherlawego parku z kikutami po ogródku jordanowskim, za karłowatymi drzewkami zaczyna się dwumetrowe żeliwne ogrodzenie strzeżonego osiedla. Tęczowe Zacisze – jedna brama wjazdowa, pięć trzypiętrowych domów mieszkalnych w kolorach tęczy.

– Technikę masz niezłą – zaczyna Baczer. Zerka w stronę blaszaka. – Ale zero uczucia.

– Nie rozumiem? – mówi Simon.

– Musisz iść na całość. Ty albo przeciwnik.

– Panuję nad emocjami.

– Srutu–tutu. Za dużo myślisz. Dygasz się o ubranie. Boisz się o facjatę. Albo że zrobisz gościowi krzywdę.

– Nie chcę mieć kłopotów.

– To cię gubi. Za wiele masz do stracenia. Szkoła, gładka buźka, w perspektywie studia.

– Chyba normalne. Instynkt samozachowawczy.

– Masz walczyć o przetrwanie! Niech gość czuje, że idziesz na full.

Jeśli się spietra, to jest twój. O, wraca Jolka. I jak?

– Zrobione.

– Gdzie? – spytał Baczer.

– Torebkę do pojemnika na śmieci przy biurowcu. Wybierają wieczorem. Dowód i karty do studzienki ściekowej.

Simon kręci głową.

– Wywaliłaś karty? Przecież to czysta forsa!

– Szkoda fatygi – Baczer odpowiada za Jolkę. – Babka na pewno zdążyła już zastrzec.

– Baczer wie, co mówi.

– Ekonomiczne myślenie. Czasem trzeba stracić, żeby zyskać.

Weszliśmy do Europy. Ucz się marketingu.

– Wyluzuj się, Simon. Lacha wraca z zakupów.

Lacha oburącz trzyma od spodu wyładowaną plastikową torbę. Koń idzie obok i popija z puszki.

– Mieli tylko w zielonych puszkach – oznajmia Lacha. Ostrożnie stawia torbę na ławce.

– Z braku laku. – Koń dokańcza puszkę. – Wolę czerwone. Mocniejsze.

– Po dwa na łebka – wylicza Lacha.

– Bez Jolki – zastrzega Baczer. – Jolka, nie kręć głową. Matka znowu zacznie się ciebie czepiać.

– Dzisiaj ma premierę. Sama przyjdzie nawalona i guzik poczuje. Jeżeli w ogóle wróci na noc.

– Nie szkodzi. Ty nie pijesz.

– Reszta ze stówy. – Lacha wręcza Baczerowi trzy banknoty i drobne.

– Częstuj się. – Baczer robi miejsce na ławce. Podaje puszkę

Simonowi. – Lacha to chodząca uczciwość. Swojemu nie zabierze. – Daje

Koniowi do ręki resztę z zakupów. – Schowaj.

– Swoją dolę już dostałem.

– Masz większe wydatki.

– Gadanie!

Baczer pociąga z puszki. Mówi do Simona:

– Konia od małego wychowuje babka. Gówniana emerytura. Ledwo starcza na leki i opłaty. Koniowi musi nieźle kombinować.

– To moja sprawa.
– Czego się tak indyczysz? Simon musi znać realia. Teraz jest z nami.
– Emerycy mają najgorzej – odzywa się Lacha. – Takiej staruszki nigdy bym nie oskubał. W życiu!

Baczer podrywa się z ławki. Bierze pełną puszkę i podnosi do góry.

– Panie Zdziński! – woła. – Prosimy do nas!

Łysawy pięćdziesięciolatek drobi pośpiesznie do drugiej klatki. Nie zatrzymując się, spogląda w ich stronę, macha niemrawo i znika za drzwiami.

– Nasz dzielnicowy – wyjaśnia Baczer.

– Nie czepia się? – pyta Simon.

– Nietoperz. Nic nie widzi, nic nie słyszy.

– Zna realia – mówi Koń.

– Ogólna znieczulica. Wszyscy młodzież olewają – żartuje Baczer.

– Romek – podchwycyca Jolka – opowiedz Simonowi o waszej pierwszej imprezie na Starówce.

– Z bełtem?

– No.

– Trzecia klasa podstawówki. Poszliśmy w czwórkę: ja, Koń, Lacha i jeszcze taki jeden, Rysiek. Ten to był świrus. W siódmej klasie wlaź na słup wysokiego napięcia i się zjarał. Szkoda chłopaka, czasem miał niezłe pomysły. Ale jak sobie wypił, to szajba musowo mu odbijała.

– A na Starówce? – przypomina Jolka.

– Pomysł Ryśka. Przyniósł z domu dwie butelki po winie owocowym. Umyliśmy, soku z wodą do pełna i na Starówkę. Siedzimy na Barbakanie: ja, Rysiek, Koń i Lacha. Szczyle, no bo ile mogliśmy wtedy mieć lat: dziesięć?

– Było super – rozmarza się Koń.

– Siedzimy na murku, majątamy nogami, pociągamy z butelek rozcieńczony soczek malinowy. To była niedziela, chyba maj. Ludzi od groma. My na pierwszym planie, jak eksponaty w muzeum, a ludzie nic. Gapią się na kwiatki, chmurki, podziwiają kolumnę Zygmunta. Nas nie widzą.

– Boki zrywać – poświadcza Koń.

- Rysiek miał potem w domu przypał – przypomina Lacha.
- Starzy się dowiedzieli? – interesuje się Simon.
- Gdzie tam. Oberwał za te dwie opróżnione butelki, które wyniósł.

Potrzebowali na wymianę. Szukają, pytają – nie ma. Szkło gdzieś wcięło. Bilans się nie zgadza, a w gardle sucho. Przecież po kredyt do Balcerowicza nie pójda. Nie oszczędzali na czarnej godzinę. Ofiary reform.

- Od ziarnka do ziarnka, aż zbierze się ćwiartka – śpiewa Koń.
- Bo w tym dziadowskim kraju to życia nie ma – mruczy Lacha.

Otwiera drugą puszkę. – Ja, gdybym mógł, to zaraz bym prysnął.

- Gdzie? – dopytuje się Jolka.
- Bo ja wiem. Anglia, Niemcy, Szwecja. Do Europy.
- Ja wolę Stany – mówi Simon.
- Stany to szajs – kontruje Koń.
- Bo co?

– Wizy dają z łaski. Wielkie pany. I jeszcze mamy za nich łby nadstawiać w Iraku – wylicza Koń.

- A kontrakty też nam koło nosa przeszły – dorzuca Baczer.
- No i Kościuszkę chcą zabrać – włącza się Lacha.
- Jakiego Kościuszkę? – dziwi się Baczer.
- No, tę górę. Teraz sobie wymyślili, że jakoś inaczej ma się nazywać.

Nie góra Kościuszki tylko po ichniemu.

- Taka wdzięczność – burczy Koń.
- Pierwsze słyszę. – Baczer kręci głową.
- Coś ci się, Lacha, poprzestawiało – stwierdza Simon. – Góra

Kościuszki jest w Australii.

- Jeden diabeł.
- Tak czy inaczej kręcą nami, jak chcą – upiera się Koń.
- I tak ci wizy nie dadzą – mówi Baczer do Simona. – Tak nas kochają.
- E, nie powinno być problemu. Mam ojca w Stanach.
- Amerykanin? – podchwycza Lacha z zainteresowaniem.

– Nie. Ale siedzi tam już dziesiąty rok. Legalnie. Ma zieloną kartę.
Dorobił się własnej firmy przewozowej.

– Czyli was wyrolował – podsumowuje Baczer.

– Możesz jaśniej?

– Dał dyla i zostawił cię na garnuszku mamusi.

– Nie twoja sprawa.

– Dobra. Nie wcinam się. Cierp w samotności.

– Masz zacięcie poetyckie. Piszesz wiersze?

– W jakim kraju ja żyję – mruczy Jolka. – Same półsieroty.

– Wolne żarty – mówi Baczer. – Nigdy nie bawiłem się w żadne rymowanki. Uczę się fachu.

– Faktycznie. – Lacha się skrzywił. – Dzieci z rozbitych rodzin.

– Czego konkretnie się uczysz? – indaguje Simon.

– Obrabiania – odpowiada Baczer.

– Zero perspektyw. W tym kraju człowiek niczego się nie dorobi – konkluduje Koń, kończąc drugie piwo. – Moja babka prawie pięćdziesiąt lat tyrała w fabryce i co dziś z tego ma? Gównianą emeryturę.

– Została jeszcze jedna puszka – oznajmił Lacha. – Kogo najbardziej suszy?

– To też żadna przyszłość, Baczer – kwituje Simon. – Obrobisz gościa raz, drugi, ale prędzej czy później noga ci się powinie.

– Ja bym się pisał na to gratisowe piwko – podchwycy Koń. – Mogę z kimś na spółę.

– Ciemny jesteś – dogaduje Simonowi Baczer. – Uczę się na tokarza, specjalność obrabiacz metali.

– Przy tym bezrobociu? – śmieje się Koń. – Kto ci da robotę?

– Słyszałeś o pracy na własny rachunek? Ślusarz i obrabiacz metali zawsze są w cenie. Będę brał tylko nocną zmianę. W lepszych dzielnicach.

– Lacha miał rację – przypomina sobie Koń. – Przy pierwszej okazji też dam dyla i nie wracam.

– Niezłe cacko – przerywa im Simon. Wychyla się na ławce, żeby lepiej widzieć. – Chyba prosto z salonu.

– Nówka – zgadza się Koń.

Czarne bmw przy akompaniamencie osiemdziesięciowatowego bum–bum przemyka osiedlową uliczką. Za blaszakiem skręca w prawo i znika z pola widzenia.

– To jest bryka! – Baczer cmoka.

– Ciekawe, gdzie gość parkuje – zastanawia się Koń.

– Na pewno to nikt stąd – orzeka Lacha. – Za duża kasa.

– Produkują modele w żywszych kolorach? – żartuje Jolka.

„Szum dałby mi od ręki ze trzydzieści tysięcy. Dwie minuty strachu i człowiek jest ustawiony na cały rok” – myśli Baczer.

„Piątek, duża przerwa, a ja szus! pod liceum pielęgniarские i klakson na full. Ale bym przyszpnował!” – myśli Lacha.

„Co najmniej pół tony żelastwa. Jak się rozpędzi, to nie ma zmiłuj – myśli Koń. Przypomniał sobie, jak ojciec i matka w odstępie dwóch lat umierali na nowotwór. – Miał rację ten gościu, co napisał na murze: «Błogosławione szybkie samochody, bo dzięki nim nie wszyscy umrzemy na raka»”.

– Wraca. – Baczer wychyla się na ławce.

Czarne bmw wychyło zza bloku. Wolniutko skręca na drogę podjazdową, lawiruje między zaparkowanymi pod blokiem pojazdami. Czarny lakier błyszczy w słońcu, silnik mru–mru, discopolowy refren dudni rytmicznie.

Baczer klepie Lachę w plecy.

– Widzisz, jaki z ciebie frajer?

– Że co?

– Na kit wyjeżdżać na saksy!

– Nie chwytam.

– Brak perspektyw i brak perspektyw! Każdy tylko narzeka. A tu taka forsa na wyciągnięcie ręki. Trzeba się tylko umieć rozejrzeć. Dwie minuty roboty i pół roku leżysz do góry brzuchem.

– Tak jest najlepiej – stwierdza Koń.

– Co: „najlepiej”? – pyta Lacha.

– Rusz mózgownicą! Najlepiej jest pracować u siebie. Ojczyzna nas potrzebuje! Nie, Baczer?

– Jasne. Każda para rąk się przyda. Trzeba jakoś rozwiązać problem nadprodukcji samochodów.

Koń unosi się na ławce.

– Dobrze by było przyfilować, gdzie zaparkuje.

– Siadaj – powstrzymuje go Baczer.

– Co jest?

– Coś mi tu nie pasi.

– Niby co?

– Może to psy po cywilu? Węszą po osiedlu. Albo chcą wystawić towar. Nie ma żaden nic trefnego?

Lacha kręci głową.

– Też jestem czysty – potwierdza Koń. – A fanty Simona?

– Jolka się pozbyła. Jesteśmy czyści jak po lustracji.

– To niech sobie niuchają – mówi Lacha.

– Baczość! – syczy Koń. – Chyba Baczer miał rację. Śmierdzi psią padliną. Zatrzymują się.

Bmw przystaje na wysokości drugiej klatki; między ławką a samochodem odległość nie większa niż piętnaście metrów. „Albo blefują, albo idą na pewniaka” – myśli Baczer, widząc, jak otwierają się drzwi po stronie pasażera.

– Siedzimy jakby nigdy nic – instruuje. – Jesteśmy u siebie. Nic na nas nie mają. Belf, co cię napadło? Siad!

– Trzymaj smycz, bo jeszcze skoczy – przestrzega Koń.

– Belf, spokoj!

– Poznał swojego – przerywa mu Jolka. – To twój braciszek. Nie wiedziałam, że nadal z wami mieszka.

– Od przypadku do przypadku – Baczer bąka niechętnie. – Zdaje się, że na dziś koniec posiedzenia.

– Niezłym cackiem się rozbija – zachwyca się Koń. – Może pożyczysz na trochę?

– Zapomnij. Za taki numer jego kumple na dzień dobry nogi mogą ci połamać.

Bmw odjechało. Pasażer zarzuca na ramię skórzaną kurtkę, drugą ręką odgarnia grzywkę z czoła.

– Włosy zdążyły mu odrosnąć – zauważa Lacha. – Ma awersję do wygolonych łbów?

– Nie lubi rzucać się w oczy – mruczy Baczer. – Tak mówi.

– Romek, jesteś mi potrzebny!

– Dobra, ja wypadam.

– Zadzwońisz potem na komórkę? – pyta Jolka.

– Jasne. Buźka.

– Romek, czekam!

– Koniu, odprowadzisz Jolkę? Różne mendy się tu kręcą.

– Nie ma sprawy.

– To co, Simon? Witaj w klubie.

– Dzięki.

– Daleko mieszkasz?

– Dwa przystanki stąd. Zaraz po drugiej stronie Wisły.

– Czyli w Warszawie. Tutaj jest Praga.

Wsiedli do windy i ruszają na ósme.

– Mówiłem ci, żebyś przed blokiem nie wysiadywał?

– Nic złego nie robimy.

– Mówiłem?

– Nie będę przez calutki dzień kiblował w domu.

– Czy ty rozumiesz, co do ciebie mówię? – Wysiadają. – Nie dzwoń.
Mam klucze. Może matka śpi.

Ledwo zdążyli wejść, słyszą wołanie z dużego pokoju:

– Romek?

– To ja, Heniek. Romek też już jest. Zostanę dzisiaj na noc.

– Zaraz się podniosę. Zrobię wam coś do zjedzenia.

– Nie trzeba, mamuśka. Poradzimy sobie.

Wchodzi za Romkiem do małego pokoju i zamyka drzwi na klucz.

– Co wiesz o radiu Szymczaka?

– Jakie znowu radio?

– Ktoś mu podprowadził radio z samochodu. Ty?

– Dlaczego od razu ja?

– Wziąłeś?

– A jeśli nawet?

Trafia go otwartą ręką w policzek. Nie włożył w uderzenie całej siły.

Tylko żeby zabolalo, a ślad nie pozostał.

– Za co?

– Za radio.

– Co cię siekło?

– Heniu, co się tam dzieje? – Klamka porusza się gwałtownie. –

Dlaczego się zamknęliście?

– Rozmawiam z Romkiem. Niech mamusia idzie spać.

– Słyszę awanturę.

– Zdawało się mamusi. Tylko rozmawiamy.

– A ty co? Ojca chcesz mi zastąpić?

– Nie drzyj się. Matka usłyszy. Gdyby ojciec żył, to by cię grzmocił
codziennie. Na dobre by ci wyszło.

– Tak jak tobie.

– Nie pyskuj. Mnie już życie nauczyło. A ciebie ostrzegam. Jak tak
dalej pójdzie, trafisz do pierdla jak nic.

– Więzienie też dla ludzi.

- Mam poprawić?
- Zgrywasz takiego paciorka, a sam trzy lata kiblowałeś!
- I starczy. Nie zamierzam tam wracać. A ty się rozmieniasz na drobne.

Chłanie na widoku, rozróby, drobne kradzieże. Jak jakiś menel! Mam mówić więcej? Rusz łbem! Ktoś kiosk obrobi albo podprowadzą gościowi radio z samochodu, to kogo od razu pokazują palcem? Nie pchaj się na afisz!

Zrzuca buty i kładzie się na wersalce.

– Tylko dureń daje się zamknąć. Trzeba tak kombinować, żeby cię nie złapali. Pierwsza zasada: nie rzucać się w oczy. Bierz przykład ze mnie. Jak zmądrzejesz, to pogadamy. Przy mnie nie zginiesz. Ale żadnej drobnicy, zapamiętaj! Nie chcę, żebyś skończył jak jakiś drobny złodziejasek. A teraz szurnij się do kuchni i zrób mi coś do żarcia. Muszę się przekimać. W nocy mam wyjście.

3

Minęli osiedlowy blaszak. Spożywczo–monopolowy i wypożyczalnia wideo były wciąż otwarte.

– Ciemno! – Simon klnie, wpadając w dziurę w chodniku.

– Dawno przestali wymieniać lampy – zauważa Jolka. – Co naprawili, to zaraz jakiś palant tłukł.

– Trzeba patrzeć pod nogi – radzi Koń. „Chyba że jest się u siebie – dopowiada w myślach. – Znam tu każdą dziurę w chodniku”.

– Idziemy na skróty? – proponuje Lacha.

Przechodzą przez tory zajezdni tramwajowej. Na parkanie przy hipermarkecie łuszczą się sprane deszczem plakaty wyborcze. Olbrzymie billboardy zachęcają do tanich zakupów artykułów szkolnych.

– Szkoda, że wywaliliśmy puszki po piwie – żałuje Koń.

– Bo? – Simon patrzy na niego pytająco.

– Inżynier robi obchód. Zbyt wiele dziś nie uzbierał. Torba prawie pusta.

– Wspierasz bezdomnych? – śmieje się Simon.

– Nie twoja broszka.

– Chyba dawno nie byłeś na Centralnym. Więcej jak pięć minut w tym smrodzie byś nie wytrzymał.

– To zajrzyj na Wschodni – wtrąca się Lacha. – Tam dopiero jest czym oddychać.

– Bezdomny, ale swój. Tego gościa akurat znam – podejmuje wątek Koń. Minęli już hipermarket i szli wzdłuż parkingu przy biurowcu. – Miał firmę budowlaną. Wiem, bo ojciec zahaczył się u niego na jakiś rok przed śmiercią. Firma splajtowała. Inżynier pojechał na saksy do Amerykańców. Co zarobił, to słał kobiecie do domu. A jak wrócił po trzech latach, to mógł tylko pocałować klamkę. Znalazła sobie gacha, a ślubnemu kazała się wynosić. Wylądował na ulicy.

– Ja bym takiej nie odpuścił – oburza się Lacha. – Won z mieszkania! A jak nie, to ci mordę obję!

– A ten był honorowy. Odwrócił się na pięcie i poszedł.

– Szkoda gościa – mówi Lacha.

– Fakt. Sam sobie losu nie wybierał.

– Można mu pomóc – oznajmia Koń z poważną miną.

– Jak?

– Zwiększając konsumpcję piwa w puszkach.

– Szlaban. Beverly Hills – ogłasza Lacha i cofa się teatralnie dwa kroki przed solidnym ogrodzeniem z żeliwa. – Britney Spears bezpiecznie odstawiona do domu. Mission completed.

– Zdziwiasz mnie, Lacha. – Jolka uśmiecha się. – Oglądasz Bonda w oryginale?

– Lacha słucha rapu – informuje Koń. – Nic z tego nie kuma, ale zna na pamięć połowę piosenek. Nie wierzysz, to spytaj Baczera.

– Właściwie skąd ta ksywka? – dopytuje się Simon. – Miałem go zapytać.

– Baczera? Od nazwiska – powiedziała Jolka.

– Jak się nazywa?

– Rzeźnicki. Mówi, że po angielsku brzmi bardziej nastrojowo.

– Jeżeli to z angielskiego, to powinno być „Buczer”.

– Może mu to sam powiesz?

– Coś ci poradzę, Simon – oświadcza Koń. – Nigdy nie poprawiaj Baczera. Poniał? Dobra, Jolka, my spadamy. Gdy widzę te obracające się kamery, to czuję się jak mała na wybiegu.

Zagłęda do sypialni. Dzień jak co dzień: łóżko rozgrzebane, ubrania z szafy rzucone w nieładzie na pościel, części garderoby walają się po podłodze. „Niech leżą. Nawet palcem nie kiwnę”. Przechodzi do kuchni. Zlew zapchany brudnymi naczyniami. Jakby inaczej. Na stole kartka: „Mam dziś premierowe przedstawienie. Nie czekaj na mnie, wróć późno. Zrób sobie coś do

zjedzenia”. Ciepła woda, gąbka i płyn o zapachu cytrynowym. Kilka minut i efekt jest widoczny. „Gdyby wszystko można było w ten sposób” – myślała szorując gąbką brudne talerze, splukując je pod bieżącą wodą i stawiając na suszarce.

Dwie grzanki z dżemem – i po kolacji. Grzanki smakują średnio, za to jak pachną! Zapach przypomina jej wakacje, kiedy jeździła jeszcze do dziadków. Specjalnie dla niej dziadek wyremontował stary piec chlebowy i w każdą sobotę babcia piekła chleb na cały tydzień. Kuchnia wypełniona krzątaniną, ceremoniał rozpalania w piecu żywiczną trzaską, zaczyn w dzieżach prawie kipi, chodzimy na palcach, żeby chleba nie wystraszyć, przestrzegają babcia żartobliwie, a już na poważnie, dla odpędzenia zaczynowych uroków, podśpiewywała „Kiedy ranne wstają zorze”. Ogień buzował, ciasto nabierało chlebowych rumieńców, zapach rozchodził się po całym domu. Jeszcze na miesiąc przed udarem babcia uwijała się przy piecu chlebowym jak za młodych lat. Zapas chleba wystarczał na tydzień. Zapach zostawał na lata.

Bierze kąpiel i już o dziesiątej leży w łóżku w swoim pokoju przy zgaszonym świetle. Drzwi pokoju zamknięte, słuchawki do discmana na uszach. Telefon spoczywa ukryty pod ręką, wibrowaniem da jej znać, gdy zadzwoni Romek. „Nie spiesz się, co ma przyjść, przyjdzie, życie i tak nas dogoni” – sączą się jej do uszu słowa piosenki. Przedstawienie potrwa do wpół do dziesiątej. Potem bankiet do późna w nocy. Oby jak najdłużej.

Dwa przystanki autobusowe i już był po drugiej stronie Wisły. Wsiada przy Tamce, zawraca do Dobrej. Zanim wszedł do bramy kamienicy, zatrzymał się przed wystawą z książkami w „Czułym barbarzyńcy”. W środku książkowo, kawowo. Ale nie umywa się do księgarni „Barnes and Noble” w waszyngtońskim Georgetown. Tam cztery piętra książek, klubowe fotele, kultowo. „Z Georgetown University do «Barnes and Noble» będę miał kwadrans spacerkiem” – pomyślał. „Ja ci, synu, niczego nie będę narzucał – powtarza ojciec niemal w każdym e-mailu. – Uczyć się masz, a jakże, bo

studia kosztują, ale co do reszty, będziesz miał wolną rękę. Nie jesteś przecież dzieckiem”.

Rusza po schodach kamienicy. Na podeście trzeciego piętra otwiera skrzynkę na licznik i wyjmuje torbę sportową ze sprzętem. Wbiega na czwarte i przyciska guzik dzwonka. „Czekamy, aż mamusia nam otworzy”. – Klucze, Szymuś? Po co? Jeszcze byś zgubił. Przecież gdy wracasz ze szkoły, to jestem już w domu. I co to za mina? Która matka jest tak jak ja na każde zawołanie?

Miga cień w wizjerze. Chwila oczekiwania, teraz szczęk zamków i drzwi otwierają się. Zaczyna się mydlana opera.

– Boże, dziecko drogie, jak ty wyglądasz!

– A co? – pyta i spogląda w lustro.

Matka już biegnie do łazienki. Ledwo zdążył zdjąć bluzę i buty, wraca z aseptycznym opatrunkiem i wodą utlenioną.

– Kto ci wargę rozciął? Pobili cię?

– To? Zwykła kontuzja. Ćwiczyliśmy bloki. Taki jeden nadgorliwiec mnie musnął. Nowy, chciał się popisać.

– No to pięknie!

– Nic mi nie jest. Warga trochę spuchła i już.

Parada wcieleń: jeszcze przed chwilą Matka Teresa, a teraz oto skrzyżowanie Messaliny i Lady Makbet. Napięcie jak na filmach Hitchcocka, w powietrzu pachnie prochem i Inkwizycją.

– Czyli mówisz, że wracasz z treningu?

– No tak.

– Właśnie dzwonił twój trener – mówi i broda zaczyna jej drżeć. – Od końca wakacji ani razu się nie pokazałeś. Gdzie ty chodzisz? Co robisz po lekcjach?

Żelazny repertuar. Pora na gwóźdź programu.

Nie pomylił się. – Dlaczego mi to robisz? To ja się tak staram, nawet prywatnego życia nie mam, a ty? Własną matkę okłamujesz?! Ręce sobie po łokcie urabiam! Opieram, ubieram, gotuję, wszystko dla dziecka, a ty mi się tak odpłacasz? Zupełnie jak ojciec!

– Może właśnie dlatego – odpyskowuje, byle jak najszybciej zamknąć się w pokoju.

– Co „dlatego”? – pyta matka, mrugając zaczerwienionymi oczami.

– Pewnie dlatego ojciec od ciebie uciekł.

Lady Makbet zniknęła bez śladu, na scenę wychynęła Madame Butterfly i jękliwa aria rozlewa się na całe mieszkanie. Zaszły się w pokoju, dla uspokojenia sumienia obłożył się podręcznikami. Zza zamkniętych drzwi długo jeszcze niosą się sceniczne szlochy i pochlipywania. Domowa litania żalów.

Jeśli dziś wtorek, to lekcje otwiera historia. Skoro historia, bez ofiar się nie obejdzie. Karakan ma zwyczaj – uśmiechając się zwodniczo, niemal nie rozglądając się po klasie – chodzić krokiem starca między ławkami. Z chusteczką przy nosie, wzrok nieobecny, czasem potknie się o własną nogę. Kto go nie zna, mógłby nabrać przekonania, że historyk w chwili zapomnienia nadzieje się na wskaźnik, że metalowy szpikulec zamiast na ściennej mapie wylądował na jego twarzy i wybije mu oko. Elementy wojny psychologicznej Karakan opanował w sposób niedościgniony dla innych, pozbawionych jego fantazji, pedagogów. Opracował wyrafinowany sposób podchodzenia zwierzyny. Zaczai się, wtopi się z zastosowaniem zasad mimikry w otoczenie, rytmicznym balansowaniem swą suchotniczą postacią wprawia ofiarę w hipnotyczny sen.

– Czy mamy wierzyć Swetoniuszowi? – spytał dziś niewinnie, rozpoczynając pielgrzymkę między rzędami ławek, kiedy kartkówki spoczęły już w jego skórzanej teczce, zdającej się pamiętać czasy Legionów Piłsudskiego. – Zważmy, że Swetoniusz urodził się blisko dwa stulecia po Cezarze, a czasy pojawienia się telewizji, radia i Internetu były niemal tak odległe, jak dystans dzielący pana Stasiaka od trójki z historii.

Michał Stasiak, apologeta nauk ścisłych, zarazem nieprzejednany przeciwnik skoków przez kozła i ćwiczeń z piłką lekarską, ma w zasadzie przyjazny stosunek do świata i rzadko poddaje się emocjom. Jednak nawet dla tak tęgiej matematycznej głowy, która łamie bez trudu enigmy logarytmów i sinusów, Karakan okazuje się równaniem ze zbyt wieloma niewiadomymi.

Karakan wypuszcza się na bezkrwawe łowy, Stasiak głębiej zapada się w ławce. Towarzysze niedoli bez oporów spisują go na straty.

– Czy zatem pan Stasiak gotów byłby dać wiarę słowom Swetoniusza? – podjął tymczasem Karakan, oglądając ze skupieniem czubki własnych butów. – A kimże my jesteśmy, robaki mizerne, żeby podawać w wątpliwość wiarygodność Gajusza Swetoniusza Trankwilusa?! Przypomnijmy: „Alea iacta

est”, co, jak wszyscy dobrze wiedzą, da się w wiadomym kontekście przełożyć jako: „Kości zostały rzucone”.

Karakan nagle zawraca, drobi do biurka, bierze książkę i przerzucając kartki, wraca na środek klasy.

– Jakim ciężarem owe znamienne słowa położyły się na dalszym losie Cezara? – podjął patetycznie, wznawiając swój spacer. – Dokąd go ostatecznie zaprowadziły, gdy podążając tropem własnej zapowiedzi przekroczył Rubikon i ruszył na Rzym? Posłuchajmy Swetoniusza: „Cezar zasiada. Spiskowcy niby dla okazania czci otoczyli go zwartym kołem. Najbliżej staje Cymber Tyliusz, który pierwszą podjął rolę: oto jak gdyby chcąc o coś prosić podchodzi bliżej do Cezara. Ten ruchem głowy odmawia i gestem ręki oddala sprawę na inny czas. W tej chwili Tyliusz zrywa mu togę z obydwu ramion. Cezar zawołał: «Cóż to, gwałtu się dopuszczasz?» Wtedy jeden z Kasków zadaje mu cios z tyłu, trochę poniżej gardła. Cezar chwyta Kaskę za ramię i przebija je piórem metalowym. Pragnie skoczyć naprzód. Nie zdążył. Znowu cios. Gdy spostrzegł, że ze wszystkich stron grożą mu wyciągnięte sztylety, zasłonił sobie twarz togą, jednocześnie przy pomocy lewej ręki owinął się fałdem togi aż poniżej goleni, aby przystojniej upaść, nawet dolną część ciała zdążył zakryć. Tak zakłuty został dwudziestoma trzema ciosami”¹.

Zamknięte dzieło Swetoniusza wędruje pod pachę, Karakan z miną natchnionego wizjonera znowu przebija się przez labirynt ławek.

– Skoro wiemy już, jak krwawą łaźnią okazał się Senat w owe brzemienne w skutki dni – ciągnie w natchnieniu, błędząc wzrokiem ponad pochylonymi głowami – skoro biorąc na wiarę słowa Swetoniusza naliczyliśmy dwadzieścia trzy zdradzieckie ciosy kończące żywot Cezara i zarazem, wiemy to aż nazbyt dobrze, zwiastujące serię nieszczęść, których Rzym miał doświadczyć przez następne wieki, skoro więc mamy to wszystko ułożone w należyтым porządku w naszych pojemnych głowach, to zadajmy sobie jedno banalnie proste pytanie, formalność doprawdy, poprzez którą dopełnimy układanie mozaiki postaci, cytatów i dat. Kiedy zatem...

¹ Swetoniusz, *Żywoty Cezarów*, Wrocław 2004, s. 83–84.

Metalowy wskaźnik zatacza łuk i zmierza nieuchronnie w kierunku rudej głowy Rynkowskiego, specja od biologii molekularnej. Rzędy lewy i środkowy, odetchnąwszy, mogą oddać się bezpiecznej sztuce odczuwania empatii. Jola Ryster wysuwa ukryty pod podręcznikiem katalog kosmetyków, przesuwa go na środek ławki i przegląda dyskretnie z Majką Walecką. Szymek Ratajczyk wykorzystuje chwilę spokoju, by przejrzeć notatki o *Antygonie*. „Witaj jutrzeńko swobody”, śpiewa chór lewy przy życzliwym wsparciu środkowego. Nagle fortuna zmienia front. Karakan wykonuje gwałtowny obrót na pięcie, metalowy wskaźnik zwoodniczym łukiem atakuje trzecią ławkę w środkowym rzędzie i zawisa na wysokości oczu Marka Tomczaka. Tomczak jest uzdolnionym perkusistą, ma talent do formułowania błyskotliwych uogólnień i potrafi jednym uśmiechem rozbroić niemal każdego, włącznie z Kolubryną, nauczycielką matematyki i wychowawczynią Ic w jednej osobie. Wobec Karakana okazuje się bezbronny.

– Pan Tomczak powie nam zatem, kiedy nieszczęsny mord na Cezarze miał miejsce.

Tomczak milczy. Karakan jakby nie słyszał, że z różnych stron dobiegają szeptane podpowiedzi. Tomczak wychwytyje szept i z ulgą odpowiada:

- W idy marcowe.
- Doskonale. A kiedyż to idy marcowe przypadały?
- W marcu.

– Prawie dobrze. Usłyszemy jeszcze, którego dokładnie dnia? Pan Tomczak rumieni się ze wstydu. I bardzo słusznie. Powinien się wstydzić. Poprośmy o wsparcie pana Szymona Ratajczyka.

Tonący brzytwy się chwyta. Zaczyna się improwizacja ad hoc w stylu „zalew informacji”.

– Sposób datowania w kalendarzu rzymskim różnił się znacznie od naszego – duka Simon. – Rzymianie dzielili dni miesiąca na nony, kalendy i idy. „Nona” na przykład to dziewiąty dzień... dziewiąty...

– Trzeba przyznać, że pan Ratajczyk jest odczytany. Przepraszam, chyba panu Ratajczykowi wszedłem w słowo. Zatem?

Jolka bezszelestnie wertuje podręcznik. Czyż nie o to chodziło w tej całej reformie szkolnictwa? Zdjąć z ucznia bagaż wiedzy encyklopedycznej. Wystarczy, że będzie wiedział, gdzie czego szukać. Jest!

– Trzynasty – szept za plecami Ratajczyka.

– Dokładna data to trzynastego marca – powtarza Simon.

– Blisko, panno Rysterówna. – Karakan jest w swoim żywiole. –

Niemniej, pozwalam sobie zauważyć, fatalny błąd. Istotnie idy przypadały na trzynasty dzień miesiąca – z wyjątkiem wszakże marca, maja, lipca i października. W te miesiące idy oznaczały dzień piętnasty. Spadkobiercy kultury antycznej – mruży teatralnym szeptem, kiedy w swoim notesie wstawia przy trzech nazwiskach zgrabne jedyńki. – Jeśli Wandalowie czegoś nie zniszczyli, to wam na pewno się uda.

Pięć minut przerwy. Jak odreagować rzymski stres? Boisko odpada. Parę rzutów do kosza i zabrmi dzwonek. Odrobina świeżego dymku w Małpim Gaju? Niewykonalne: kolejka chętnych zaczyna się już na korytarzu. Inna sprawa, że lekcja polskiego nie niesie zbyt wielkich zagrożeń. W wykazie stresogennych czynników Piękna Julia od lat zajmuje jedno z ostatnich miejsc.

Do korpulentnej, niskiej szatynki przydomek „Piękna Julia” przyłgął w połowie lat dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia i na mocy szkolnej tradycji przekazywany jest kolejnym rocznikom pierwszoklasistów. – Ach, Szekspir – ponoć westchnęła dramatycznie panna Czajkowska na jednej z lekcji. – Dzisiaj nikt już tak nie pisze o miłości. – Jak wieść niesie, na te słowa powstał z ławki pryszczaty dryblas, młodzieniec bardzo odczytany i elokwentny, by z niewinną miną zapytać: – Czy pani profesor ma może na myśli także *Tytusa Andronikusa*? Niezapomniane dziełko, nie przeczę. Nawet w Starym Testamencie nie znalazłem tak wyrazistych scen gwałtów, mordu i ćwiartowania.

– Bo też życie bywa okrutne – wyszeptła profesor Czajkowska, rumieniąc się i blednąc na przemian. – Nikt poza Szekspirem nie oddał

fenomenowi życia w sposób tak boleśnie realny, a zarazem, zapamiętajcie to dobrze, niosący optymistyczne przesłanie, że prawdziwa miłość zawsze zwycięży. Tragiczna historia Romea i Julii. Miłość dramatyczna, romantyczna, tragiczna. Pomyślcie – ciągnęła, przybierając bajronowską pozę, rękę wznosząc nieco, jakby wypuszczała z dłoni gołębia – od czasów Szekspira każdy poeta powtarza na swój indywidualny sposób historię nieszczęśników z Werony, każdy kochanek patrząc w oczy ukochanej, widzi oczy pięknej Julii.

Tak już zostało. Miłosne perypetie Pięknej Julii pozostawały jej pilnie strzeżoną tajemnicą. Wiadomo było wszakże, że mimo skończonych czterdziestu lat nadal pozostaje w panińskim stanie. Znana z egzaltowanego przywiązania do poezji i wykazująca na co dzień rozbrajającą niezaradność w sprawach praktycznych, jawiła się uczniom zwierzęciem pedagogicznym wyjątkowo łatwym do odstrzału. Karakan na swoich lekcjach zastawiał na uczniów wnyki i pułapki. Na lekcjach z Czajkowską dotychczasowa zwierzyna zamieniała się w łowczych.

Dlatego trzydzieści par oczu spogląda z uzasadnionym spokojem, kiedy Piękna Julia, wysoko trzymając wyondulowaną głowę, furkocząc z gracją połami luźnej garsonki, wkracza do klasy, przy biurku staje na palcach i bez obawy zawiera korpulentne ciało kruchemu krzesłu. Co nas czeka? Trzy kwadransy lirycznych uniesień, dla spóźnialskich ostatnia okazja do odrobienia matematyki. Od dzwonka do dzwonka rozciąga się strefa ochronna, wolna od nerwowego zerkania na zegarek i nagminnego łamania praw człowieka. Ale zaraz! Czemuż to oczy Pięknej Julii zaciskają się w szparki? Jakiż to mroczny anioł dekadencji przesłonił jej szekspirowskie czoło mgłą niechęci?

Spodziewali się metaforyczno–lirycznej poetyki, tymczasem czeka ich spora dawka bitnikowskiej awangardy.

– Dno! – Piękna Julia lustruje ich spod zmrużonych powiek. – Totalna kompromitacja. Analfabetyzm! – grzmi.

Atak nastąpił z zaskoczenia; jednak lata doświadczeń robią swoje. Błyskawiczny przegląd sytuacji, zajęcie pozycji obronnej, teraz zwanie

szeregów i wreszcie przejście do kontrataku. Wysłanie szpicy zwiadowczej – to najbardziej skuteczna forma przeprowadzenia uderzenia rozpoznawczego.

Wstaje Tomczak, pupilek Czajkowskiej.

– Co się stało, pani profesor?

Niewinna mina Tomczaka poskutkowała.

– Czego to ja nie musiałam się nasłuchać – skarży się Piękna Julia łagodniejszym już tonem. – Przyszło mi się za was rumienić. Ale wy, zdaje się, jesteście w doskonałych humorach.

– Przepraszam – ciągnie Tomczak z wrodzonym czarem – pewnie zaszło jakieś nieporozumienie. Pani profesor nas zna...

– Odpowiedzialność, moi drodzy – przerywa mu Piękna Julia – wkraczacie w dorosłość i zaczynacie sami odpowiadać za własne czyny i wybory. Płochosć – powiedziała z poetycką emfazą, jakby słowo to nabierało w jej ustach szczególnego znaczenia – płochosć i nieodpowiedzialność nie przystoją uczniom tej szkoły. Trafiliście do szkoły wyjątkowej – i wciąż mam nadzieję, że nie przez przypadek. Rok w rok mamy przynajmniej czterech olimpijczyków w finałach krajowych. Przez ostatnie czterdzieści lat odsetek naszych absolwentów przyjętych na studia nie spadł poniżej dziewięćdziesięciu procent. A tradycja, moi drodzy? Czy zdajecie sobie sprawę, że te same korytarze przemierzały w szkolnych mundurkach postacie, o których dziś uczycie się na lekcjach? – Westchnęła. – Na każdym kroku ocieracie się o historię.

– Było, minęło – padło z końca klasy.

– O, nie! – podchwyciła Czajkowska, próżno szukając wzrokiem winowajcy. – Czy dzisiaj jest inaczej? Nadal mamy się czym chlubić! Profesorowie akademicy, aktorzy, ludzie pióra, malarze. W czasach najnowszych, za Trzeciej Rzeczypospolitej, mieliśmy posłów, było nawet dwóch ministrów. – Śmiałym szarpnięciem poderwała się z krzesła i wypłynęła zza biurka na środek klasy. – Przecież to ci sami ludzie, którzy współtworzą historię najnowszą. Ich twarze widzicie w gazetach, oglądacie na ekranach telewizorów – peroruje z właściwym sobie patosem.

– Wczoraj jednego pokazywali w dzienniku telewizyjnym – wszedł jej w słowo Rynkowski.

– No proszę! – podchwyciła triumfalnie Czajkowska

– Prowadzili go do aresztu na Rakowieckiej – uzupełnił Rynkowski, drapiąc się po rudej grzywie.

Twarz Pięknej Julii zastygła.

– Cynicy! – Na moment zamilkła, jakby szukała rymu albo natchnienia.

– Teraz rozumiem, co czuł profesor Kaczanowski, kiedy wszedł do pokoju nauczycielskiego po lekcji z wami. „Nauka? Gdzież tam! Wolą się bawić i wałkonic – krzyczał. – Nie znają podstawowych faktów z historii. Ignoranci! Ahistoryczni analfabeci!” Doskonały pedagog, wybitny człowiek, święty człowiek, talent jakich mało, i co go spotyka w klasie? Lenistwo, ignorancja, cynizm posunięty do ostatnich granic! – reaguje świętym oburzeniem. Wypisz wymaluj Dziewica Orleańska, kiedy wydana na pastwę wroga wyrzucała Karolowi VII zdradę i wiarołomstwo.

Simon poczuł, jak ktoś trąca go w plecy. Usłyszał szept Jolki:

– Coś mi się zdaje, że Czajkowska buja się w Karakanie.

Karakan i Piękna Julia? Simon wyobraził ich sobie w sytuacji tête-à-tête. Parsknął śmiechem.

Czajkowska odwróciła się w jego stronę.

– Czyżbym powiedziała coś śmiesznego? – spytała zjadliwie. – Może pan Szymon Ratajczyk wyjaśni nam, cóż takiego go rozśmieszyło? – Złagodziła ton. – Po każdym bym się mogła tego spodziewać, ale nie po tobie.

– Nerwy, pani profesor. Bardzo przepraszam. Dotarło do mnie, jak ogromna przepaść dzieli mnie od znakomitych absolwentów naszej szkoły. Zrozumiałem, że nie mam szansy im dorównać. Nie spełnię pokładanego we mnie zaufania, zawiodę szkołę i rodziców. Spadło to na mnie tak niespodziewanie, że nerwy mi puściły. – Popatrzył po klasie i powiedział strofująco, z poważną miną: – Bardzo proszę bez tych śmichów–chichów. W tym naprawdę nie ma nic śmiesznego...

Zanim profesor Czajkowska zdążyła rozstrzygnąć, czy powinna najpierw uczyć klasę, czy odpowiedzieć na tyradę Ratajczyka, rozległo się energiczne pukanie i drzwi klasy otworzyły się na całą szerokość.

– Ja dosłownie na chwilę – zapowiedziała dyrektor Serafinowa, stając na środku klasy. – Mam pilną sprawę. Nie mogę z tym czekać na lekcję wychowawczą, sama pani profesor widzi. No, śmiało, wchodź, wchodź.

Przywołana w ten sposób, przynaglona energicznym ruchem dyrektorskiej ręki, „sprawa” weszła do klasy i zatrzymała się przed tablicą.

– Wasz nowy kolega – oznajmiła dyrektor Serafinowa.

Simon przez ramię powiedział cicho do Jolki:

– Powiem ci zagadkę. Co to takiego: żółte w białym na zielonym?

– No?

– Chińczyk w białej koszuli na tle zielonej tablicy.

– Dobrze. Muszę to powtórzyć Baczerowi.

– Thanh urodził się w Hanoi – ciągnęła Serafinowa, wspomagając się karteczką – od dwunastu lat przebywa z rodzicami w Polsce. Do tej pory mieszkali w Radomiu, teraz przenieśli się do Warszawy. Zresztą może on sam więcej wam opowie? Jeśli nie ma do mnie żadnych pytań, to spotykamy się jutro na lekcji wychowawczej.

– Nikt mnie nie informował, że w naszym elitarnym liceum językiem wykładowym będzie wietnamski – burknęła Jolka.

– Kiedy mnie on się wydaje sympatyczny – oznajmia Majka Walecka.

– Co prawda nie mamy czasu na pogaduszki – podejmuje Czajkowska dziwnie rozanielona – ale może nowy kolega rzeczywiście opowie nam o sobie?

Wszyscy zamieniają się w słuch. Bądź co bądź każda nowość to wyczekiwany przerywnik na tle lekcyjnej szarzyzny.

– Właściwie pani dyrektor już mnie przedstawiła – odzywa się Thanh gładką polszczyzną. Jeśli jest speszony sytuacją, to doskonale to ukrywa. – Nie chciałbym zajmować lekcji. Może tylko dodam, że mam też polskie imię. Koledzy i znajomi w Polsce mówią do mnie Tadek.

– Jakież to polskie! – rozmarzyła się Piękna Julia, jakby na miejscu Thanha stał przed nią Karakan z zaręczynowym bukietem. – Takie patriotyczne, historyczne imię! Tadeusz Kościuszko, Tadeusz Rejtan...

– Profesor Tadeusz Kaczanowski – wtrąca się Jolka z poważną miną.

– A żebyś wiedziała! – Czajkowska nasrożyła się. – Z jego imponującą wiedzą, z wybitnie naukowym zacięciem pan profesor Kaczanowski byłby ozdobą każdego liczącego się uniwersytetu na świecie. Gdybyście chociaż byli w stanie docenić, z jakim autorytetem macie na co dzień do czynienia!

– Czy mogę usiąść, pani profesor? – pyta Thanh vel „Tadeusz”, nadal wyczekujący na baczność przed tablicą.

– Słucham? No oczywiście, przepraszam. Gdzie my cię posadzimy... Pierwsza ławka jest wolna, ale lepiej, żebyś siedział z kimś...

– Ja chętnie się przesiądę – podchwytuje Majka Walecka.

„Typowa blondynka” – mówi spojrzenie Jolki Ryster, kiedy Majka bez słowa usprawiedliwienia opuszcza jej ławkę i przenosi się z książkami do Thanha.

Tymczasem Piękną Julią bez reszty zawładnął czar egzotyki.

– Przecież już Szekspir... – zaczyna, i z każdym słowem coraz bardziej się zapala – bo taki na przykład Otello, postać na wskroś egzotyczna, ze względu na kulturową odmienność – jako że, wiadomo, inny kolor skóry, no i religia obca – więc ze względu na szeroko pojmowaną odmienność postać wcześniej bardzo rzadko goszcząca na kartach literackich arcydzieł. A kim dzisiaj, dla nas, jest szekspirowski Otello? To przecież, jakbyście dziś powiedzieli, postać kultowa, jedna z ikon kultury – no właśnie, jakiej? Europejskiej!

– To komu w końcu Sobieski dał łupnia pod Wiedniem? – słychać głośny szept z okolic ławki Rynkowskiego. – Bo wychodzi na to, że i jedni, i drudzy od dawna byli Europejczykami.

Ale Czajkowska, raz wpadłszy w orbitę literackich dywagacji, jest odporna na dygresje i kontrapunkty.

– A Rudyard Kipling? – peroruje dalej, zerkając z życzliwością w stronę czarnej czupryny w pierwszej ławce. – Zachód i Wschód spotykają się w połowie drogi. To dzięki Kiplingowi owe dwa, jak twierdzono, nieprzystawalne, światy zaczęto z czasem ukazywać jako równoprawne obszary, niekiedy biegnące obok siebie równolegle, ale nierzadko się przecinające, i wtedy, co dziś nas już nie dziwi, okazywało się, że tych punktów styecznych jest więcej, niż współcześni skłonni byłiby sądzić.

– Ciekawy eksperyment – mruczy Simon, jakby rozmawiał sam ze sobą – polski z elementami geometrii.

– Eksperyment, niech wam będzie – podchwycy selektywnie Czajkowska, skupiona na własnym wątku – który w tak niedościgły sposób rozwinął Conrad. Przykłady? Bardzo proszę. *Jądro ciemności* i przedstawiciele białej cywilizacji w zderzeniu z Czarną Afryką, jeżeli mogę użyć tej niewyszukanej figury stylistycznej. Dalej *Lord Jim* z wieloaspektową peregrynacją białego człowieka po egzotycznych obszarach Archipelagu Malajskiego, peregrynacją naznaczoną próbą zrozumienia odmiennej kultury, z braku lepszego określenia nazwijmy ją kulturą, czy lepiej cywilizacją, ludów żółtych. – Patrzy po klasie z nadzieją w oczach. – Może komuś przychodzi do głowy jakiś inny znamieny przykład zderzenia kulturowego w wielkiej literaturze światowej?

Porusza się ruda czupryna i Rynkowski ochoczo podnosi rękę.

– Tak? – podchwytuje Piękna Julia.

– Herman Melville – mówi Rynkowski bez zająknięcia.

– No dobrze. – Piękna Julia jest nieco wybita z toku rozumowania. – A konkretnie co?

– *Moby Dick*, z przewodnim motywem polowania na wieloryba.

Białego wieloryba.

– Rynkowski – wzdycha Czajkowska z rezygnacją – mam wrażenie, że biologia molekularna wywarła niezatarte piętno na twoim dzieciństwie.

Dzwonek na przerwę zapobiega widmu konfrontacji między literaturą a biologią molekularną.

– Kolorowa konfektka jest dziś w modzie – komentuje Simon na widok dziewcząt kłębiących się wokół Thanha na korytarzu.

– Słodkie idiotki. – Jolka nie bawi się w gładkie słówka. – Myślą, że jak cukierek nowy, to lepiej smakuje.

– Długo się tu nie utrzyma.

– Bo?

– Proste. Nie poradzi sobie. Za wysoki poziom.

5

- Ósma – mówi Lacha. – Zajaralbym coś. Ma któryś coś dobrego?
- Trujesz młody organizm – przestrzega Baczer. – Strasznie się opuściłeś, Lacha. Prawie uwierzyłem, że rzucasz fajki.
- Często się. – Koń podsuwa Lasze nie napoczętą paczkę Marlboro. – Ktoś jeszcze reflektuje?
- To z nudów – oznajmia Lacha. – Muszę mieć czymś ręce zajęte.
- Ucz się języka migowego – radzi Baczer.
- Akurat Lacha ma głowę do nauki – kpi Koń.
- To nie takie trudne – włącza się Simon.
- A co, uczyłeś się? – spytał Koń. – Po cholere?
- Kiedyś przeglądałem w Internecie. Tak dla jaj.
- Jezu, chyba bym się pochlastał! – Lacha zaciąga się papierosem.
- Jakby co? – spytał Koń.
- Jakbym się urodził takim dałnem. Ludziom bym się na oczy nie pokazał. Kiedyś w autobusie takie dwa głuchole jechały. Machają łapami, pokazują sobie te ichnie znaki. Ludzie gapili się na nich jak na małpy.
- Przegiąłeś, Lacha – oświadcza Koń. – Mieć taką kobitę, to jak wygrać los na loterii. Przynajmniej ci nie truje nad głową.
- To miało być dowcipne? – Jolka nasrożyła się.
- Co się ciskasz! Staram się tylko być dobrym kolegą. Pokazuję Lasze, że trzeba szukać jasnej strony w każdej sytuacji. No, jak to się nazywa? Aklamacja życia czy coś w tym rodzaju...
- Afirmacja – poprawia go Simon.
- Właśnie. Lacha, zafirmowałem cię?
- Nie chrzań, już i tak mnie głowa boli. Olewam równo tę twoją afirmację. Za nic bym nie chciał, żeby ludzie pokazywali mnie sobie palcami.
- Taki migacz czy dałn to i tak nie najgorzej – mówi Baczer. Podnosi kij i zaczyna drażnić się z Belfem. – Wolałbyś urodzić się czarny?
- Ale się wam zebrało!

– Chcę ci uświadomić, jakiego masz farta. Nie jesteś zbyt lotny ani urodziwy, ale za to z dobrego miotu. Hej, mógłbyś nie dmuchać dymem na Belfa?

– Chrzanię to! – Lacha rzuca niedopalonego papierosa na ziemię. Przydeptał adidasem. – Co oni tam teraz pakują? Nie smakuje mi ten szajs.

– Sfajczysz sobie nówki – przestrzega Koń. – Szkoda by było. Amerykańskie.

– Spokojna twoja kamienna szyja. Strata do odrobienia – uspokaja go Baczer.

– Nie chwytam?

– Ten żółtek od Simona może załatwić od ręki każdy towar. Jego stary ma pod Warszawą jakąś hurtownię. Dobrze mówię, Simon?

– Podobno. Coś tak chlapał w szkole.

– Jaki sort?

– Nie wiem. Nie gadałem z nim.

– Żółtki są jak Żydki – zaczyna Koń. – Wcisną każde barachło, prezerwatywy czy podróbki reeboka, wsjo rawno.

– Albo sajgonki z gołębi – dorzuca Lacha.

– Uważaj, jak będzie was czymś częstował – uprzedza Koń. – Małpi mózdzek na surowo. Rigoletto na poczekaniu jak stąd do Skierniewic.

– Mózdzek serwują Chinole – sprostowuje Simon.

– Jedna menażeria. – Koń się krzywi.

– Niezłe macie tam towarzystwo, nie ma co! – śmieje się Baczer. – Elitarna szkoła.

– Nikt go nie zapraszał.

– Długo się nie utrzyma – stwierdza Jolka.

– Bo ja wiem? – mruczy Koń. – Cwani są. Najpierw wysiudali nas z bazarów, teraz wciskają się do szkół. Planowa akcja.

– Czy ja nie jestem człowiek? – denerwuje się Baczer. – Jestem. Ja też mam uczucia. I nawet czasem żal mi tych Kitajców. Niechby sobie przyjeżdżali do Polski, jak im tak źle u siebie. Ale niech się kiszą we własnym

sosie. Po cholere nam wlażą w droge? Ja jestem spokojny czlowiek. Dopoki mi jeden z drugim nie wchodzi w droge. Koniu, mam racje?

– No jasne. Jesteś zrównoważony gość. Dopóki ci szajba nie odbije.

– Każdy ma lepsze i gorsze dni.

– Pamiętacie świrusa Kajmana? – pyta Koń.

– Tego, co po pijaku wszedł na dach wieżowca? – upewnia się Lacha.

– Mylisz z Zygmuś „Katmandu”. Zygmuś „Katmandu”, no, ten, co ubzdurał sobie, że jest którymś tam z kolei wcieleniem Gurkha i da radę wdrapać się na każdą przeszkodę. Baczer, ty Kajmana na pewno pamiętasz?

– Jasne. Lacha też na pewno kojarzy gościa, tylko mów do niego prostym językiem. Lacha, Kajman to ten kibol Polonii.

– Ta studencka menda? Ten, co laził po placu z szalikiem Polonii na szyi?

– No, teraz załapał.

– Taki chojrak? – dopytuje się Simon.

– Raczej przymuł. Za pierwszym razem ścierpiałem, bo niby tu mieszka, więc teoretycznie swój. Zapowiedziałem tylko, że jak drugi raz pokaże się w barwach Polonii, to go na tym szaliku sam powieszę.

– Aż taki kibic? – podchwycza Simon.

– Jego broszka. Ojca mu też nie wybierałem. Ale tu legioniści mieszkają. Po kitę się wychylał.

– I co?

– Nie usłuchał. Musieliśmy go wykwaterować. Jak chce kibicować Polonii, to niech wysuwa do swoich. Tu spokojni ludzie mieszkają. Jeden drugiego zna. Obcych nie potrzebujemy.